

# POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 25 STYCZNIA 1930 ROKU

NR. 4

JÓZEF CONRAD KORZENIOWSKI

PRZEKŁAD ANIELI ZAGÓRSKIEJ

## 4) JĄDRO CIEMNOŚCI

Nie byłbym wam wcale wspomniał o tym urzędniku, ale z jego ust usłyszałem po raz pierwszy nazwisko agenta, który tak nierozzerwalnie się łączy z memi wspomnieniami z tego okresu. A przytem czułem dla tego faceta szacunek. Tak; czułem szacunek dla jego kołnierzyków, szerokich mankietów, wyczesanej czupryny. Wyglądał niewątpliwie jak manekin od fryzjera; ale wśród wielkiego rozprzężenia w całym kraju dbał o swą powierzchowność. To się nazywa trzymać fason. Jego wykrochmalone kołnierzyki i gorsy od koszul były wynikiem siły charakteru. Bawił tu już blisko trzy lata; i nie mogłem się kiedyś powstrzymać od zapytania, skąd wytrzasnął taką bieliznę? Zacerwienił się leciutko i rzekł skromnie:

— „Wyuczyłem jedną z tutejszych kobiet, kręcących się przy stacji. To było trudne. Nie smakowała jej ta robota“.

— Takim sposobem człowiek ten rzeczywiście czegoś dokazał. A przytem był przywiązany do swoich ksiąg, które utrzymywał we wzorowym porządku.

— Pozatem wszystko na stacji było w nieładzie — głowy, rzeczy, budynki. Długie sznury pokrytych kurzem Murzynów o płaskich stopach przybływały i odchodziły; potok wszelakiej manufaktury, lichych perkali, paciorków i miedzianego drutu odpływał w głąb ciemności, skąd sączyła się wzamian drogocenna kość słoniowa.

— Musiałem czekać na stacji przez dziesięć dni — całą wieczność. Mieszkałem w chacie na dziedzińcu, ale żeby się wyrwać czasem z tego chaosu, zawadzałem o biuro buchaltera. Zbudowane było z poziomych desek tak licho dopasowanych, że gdy buchalter pochylał się nad wysokim swoim pulpitem, poprzekreślany był od stóp do głów wąskimi paskami światła. Nie potrzebowało się otwierać wielkiej okiennicy, i tak było jasno w pokoju. Przytem panował tam upał; wielkie muchy brzęczały szatańsko i nie kłuły lecz raniły. Siadywałem zwykle na podłodze, podczas gdy buchalter o nieskazitelnej powierzchowności (nieco nawet uperfumowany) sterczał na wysokim stołku i pisał, pisał. Czasem wstawał aby rozprostować kości. Gdy wtaczano łóżko na kółkach z chorym (jakimś agentem, który zasłabł w okolicach górnej rzeki) przejawiał lekkie rozdrażnienie.

— „Jęki chorego“ — mówił — „rozpraszają moją uwagę. A bez tego niezmiernie jest trudno ustrzec się zawodowych błędów w tym klimacie“.

— Pewnego dnia zauważył, nie podnosząc głowy:

— „Tam w głębi kraju spotka się pan z pewnością z Kurtzem“ — Gdy zapytałem kim jest Kurtz, odrzekł, że to jeden z głównych agentów; spostrzegł-

szy iż informacja mię rozczarowała, dodał: „To bardzo wybitny człowiek“. Dowiedziałem się dalej od niego, że Kurtz jest kierownikiem handlowej stacji, bardzo ważnej stacji, we właściwym kraju kości słoniowej, „w samym centrum. Przysyła tyle kości słoniowej co wszyscy inni razem wzięci...“

— Zaczął znów pisać. Z chorym było tak źle, że nawet nie jęczał. Muchy bzykały wśród wielkiego spokoju.

— Nagle usłyszałem wzrastający gwar i głośny tupot kroków. Przybyła karawana. Gwałtowny bełkot złożony z nieokrzęsanych dźwięków wybuchnął po drugiej stronie desek. Wszyscy tragarze mówili jednocześnie a wśród tego hałasu rozległ się żalony głos głównego agenta, który wołał po raz dwudziesty tego dnia, że „ma już tego dosyć“. Wstał powoli z krzesła.

— „Cóż to za okropny hałas“ — powiedział. Przeszedł pocichu przez pokój aby spojrzeć na chorego i rzekł do mnie, wracając: „On nie słyszy“.

— „Jakto, umarł?“ — spytałem przestraszony.

— „Nie, jeszcze nie“ — odrzekł z wielkim spokojem. Potem dodał, kiwnąwszy głową w stronę zgiełku na dziedzińcu: „Kiedy człowiek musi poprawnie wciągać pozycje, zaczyna czuć do tych dzikich nienawiść — śmiertelną nienawiść“. Zamyślił się na chwilę. „Jak pan zobaczy Kurtza“, ciągnął dalej — „niech mu pan powie odemnie, że wszystko tutaj“ — spojrział na pulpity — „jest w zupełnym porządku. Nie lubię pisać do niego — z tymi naszymi posłańcami nie wiadomo nigdy komu list może się dostać — tam na tej stacji centralnej. Patrzył we mnie przez chwilę łagodnie, wypukłymi oczyma. „O, ten to zajdzie daleko, bardzo daleko“ — zaczął znów. „Zajmie wkrótce ważne stanowisko w administracji. Postanowili tak ci u góry — rada spółki w Europie, rozumie pan“.

— Zabrał się znów do pracy. Hałas nazewnątrz ustał; wychodząc z chaty zatrzymałem się na progu. Wśród spokojnego brzęczenia much agent wracający do kraju leżał czerwony i nieczuły na wszystko, drugi zaś, pochylony nad swemi księgami, wciągał poprawnie pozycje różnych idealnie poprawnych tranzakcji; a czterdzieści stóp poniżej progu chaty widać było nieruchome wierzchołki drzew z gaju śmierci.

— Następnego dnia opuściłem nareszcie stację razem z karawaną złożoną z sześćdziesięciu ludzi, wyruszając na dwustomilowy marsz piechotą.

— Niewarto rozwodzić się nad tem. Wszędzie ścieżki i ścieżki; wydeptana sieć ścieżek snujących się po pustym kraju przez wysoką trawę, przez spaloną

trawę, przez gąszcz, na dół i w górę przez chłodne wąwozy, w górę i na dół po kamienistych pagórkach ziejących upałem; a przytem samotność, zupełna samotność — nikogo, ani jednej chaty. Ludność wyniosła się stamtąd już dawno. Gdyby tak cała masa tajemniczych Murzynów, uzbrojonych w straszliwy oręż wszelkiego rodzaju, zaczęła nagle podróżować drogą między Deal a Gravesend, łapiąc parobków na prawo i lewo do dźwigania ciężkich juk, wyobrażam sobie, że każdy folwark i każda wieś w tych okolicach opróżniłyby się bardzo szybko. Tylko że tutaj i zabudowania znikły również. Przechodziłem jednak przez kilka opuszczonych wsi. Jest coś wzruszająco dziecinnego w ruinach ścian z trawy. Dzień po dniu słyszałem za sobą tupot i szelest sześćdziesięciu par bosych nóg, a każda para dźwigała sześćdziesięciofuntowy ciężar. Rozbijanie obozu, gotowanie, sen, zwijanie obozu, marsz. Od czasu do czasu znajdowaliśmy Murzyna spoczywającego w wysokiej trawie blisko ścieżki — trażarza, który padł martwy w uprzęży, a obok niego pustą tykwę na wodę i długi kij. Wielka cisza naokoło nas i w górze. Niekiedy wśród spokojnej nocy drganie dalekich bębnow, to wznoszące się, to opadające, drganie rozległe i słabe; dźwięk dziwaczny, pociągający, wymowny i dziki — a mający może równie głębokie znaczenie jak dźwięk dzwonów w kraju chrześcijańskim.

— Spotkaliśmy raz białego w rozpiętym mundurze, obozującego na ścieżce ze zbrojną eskortą złożoną z wychudłych Zanzibarczyków; bardzo był gościnny i podochocony — żeby nie powiedzieć pijany. Oświadczył, że pilnuje porządku na drogach. Nie mogę powiedzieć abym widział jaką drogę lub jakkolwiek porządek, chyba że ciało Murzyna w średnim wieku — z dziurą od kuli w czole — o które dosłownie potknąłem się trzy mile dalej, można uznać za trwałe zaprowadzenie porządku.

— Podróżował ze mną także pewien biały, niezły sobie człowiek, ale nieco zbyt tęgi; miał przytem nieznośny zwyczaj: mdlał na rozpalonych zboczach, w odległości całych mil od najmniejszego skrawka cienia i od wody. Przyznacie że można się czuć rozdrażnionym, kiedy trzeba trzymać własną marynarkę niby parasol nad czyjąś głową, póki ten ktoś nie przyjdzie do siebie. Nie mogłem się raz powstrzymać od zapytania, po co on się tu wogóle wybrał.

— „Żeby zrobić pieniądze, naturalnie. A cóż pan sobie myśli?” — odrzekł pogardliwie.

— Potem dostał gorączki i trzeba go było nieść w hamaku zawieszonym na tyce. Ponieważ ważył sto dwanaście kilo, miałem ciągłe awantury z trażarzami. Narowili się, uciekali, wymykali się ze swemi jukami w ciemność — coś zupełnie podobnego do buntu. Tedy pewnego wieczoru wyciąłem do nich po angielsku mowę z gestami, z których ani jeden nie uszedł sześćdziesięciu parom oczu patrzących we mnie, i następnego dnia wyprawilem hamak jak się patrzy na czele karawany. W godzinę później natknąłem się na ten cały interes porzucony w krzakach — na mego towarzysza, hamak, jęki, kołdry, przerażenie. Ciężka tyka zdarła mu skórę z biednego nosa. Nalegał usilnie abym kogoś zabił, ale w pobliżu nie było ani śladu trażarza. Przypomniałem sobie starego doktora: „Z punktu widzenia nauki byłoby ciekawe śledzić na miejscu zmiany psychiczne zachodzące w jednostkach”. Czułem, że staję się interesującym dla nauki. Ale to nie należy do rzeczy.

— Piętnastego dnia ujrzałem znów wielką rzekę i dotarłem, kulejąc, do stacji centralnej. Znajdowała się nad małą zatoczką, wśród krzewów i lasu,

z jednej strony miała bagno woniejącego błota, a z trzech pozostałych była otoczona popękany płotem z sitowia. Zaniedbany otwór w płocie stanowił jedyną bramę, i wystarczyło rzucić okiem, aby się przekonać że to rozlazły djabeł tu włada. Biali ludzie z długimi kijami w ręku wysunęli się ospale z pośród budynków, przywlekli się aby na mnie spojrzeć, i znikli z widoku. Jeden z nich, tęgi, poroczy facet o czarnych wąsach, dowiedziawszy się kim jestem, poinformował mię bardzo potoczyście, odbiegając często od tematu, że parowiec mój znajduje się na dnie rzeki. Spiorunowała mię ta wiadomość. Co? Jako, dlaczego? O, wszystko w porządku. „Sam dyrektor” był przy tem. Niema pola do żadnych zarzutów. „Wszyscy zachowali się wspaniale, wspaniale. Musi pan pójść i zobaczyć się natychmiast z dyrektorem” — ciągnął podniecony. — „On czeka na pana!”

— Nie odrazu przeniknąłem właściwy sens tego zatonięcia. Mam wrażenie że teraz rozumiem, ale pewny nie jestem — bynajmniej. Kiedy o tem myślę, wydaje mi się, że ten wypadek był naprawdę zbyt głupi aby być zupełnie naturalnym. A jednak... Ale w owej chwili wyglądał poprostu jak jakaś przekłeta przeszkoda. Parowiec zatonął. Przed dwoma dniami wyruszyli w nagłym pośpiechu w górę rzeki z dyrektorem na pokładzie, pod komendą jakiegoś ochotniczego kapitana, i zanim upłynęły trzy godziny, wybili o kamienie dno statku, który zatonął przy południowym brzegu.

— Zapytywałem siebie co tu mam właściwie do roboty, gdy mój statek przepadł. A w rzeczywistości czekała moc pracy przy wyławianiu z rzeki mego dowództwa. Musiałem wziąć się do tego zaraz na drugi dzień. Wydobyć statek a potem naprawa, gdy już sprowadziłem na stację wszystkie części parowca, trwały kilka miesięcy.

— Pierwsza moja rozmowa z dyrektorem była ciekawa. Nie poprosił wcale abym usiadł, choć przeszedłem tego ranka dwadzieścia mil. Miał pospolitą cerę, pospolite rysy, obejście i głos. Wzrostu był średniego, budowy przeciętnej. Jego oczy, zwykłego niebieskiego koloru, były zapewne szczególnie zimne, a spojrzenie — gdy chciał — spadało na człowieka ostre i ciężkie jak topór. Ale nawet i wówczas reszta jego osoby zdawała się temu przeczyć. Tylko na ustach błędził jakiś nieokreślony, nikły wyraz — coś utajonego — uśmiech, nie uśmiech; pamiętam go, ale nie umiem wytłumaczyć. Ten uśmiech był nieświadomy, choć stawał się wyraźniejszy na chwilę, gdy dyrektor skończył coś mówić. Zjawił się jak pieczęć przyłożona do słów, aby znaczenie najzwyklejszego zdania uczynić zupełnie nieprzeniknionem. Dyrektor, był to zwykły sobie kupiec, pracujący od dzieciństwa w tych okolicach — i nic więcej. Słuchano go, ale nie wzbudzał ani przywiązania, ani trwogi, ani nawet szacunku. Wzbudzał niepokój. Otóż to właśnie! Niepokój. Nie było to wyraźne niedowierzanie — poprostu niepokój, nic więcej. Nie macie pojęcia, jak skuteczną może stać się taka... taka... właściwość. Nie miał zmysłu organizacyjnego, ani inicjatywy, ani nawet zamiłowania do ładu. Wychodziło to na jaw w takich rzeczach jak na przykład opłakany stan stacji. Nie był wykształcony, nie był inteligentny. Dlaczego dostał się na swoje stanowisko? Może dlatego że nigdy nie chorował... Przesłużył w tamtych okolicach trzy okresy po trzy lata... Dlatego, że świetne zdrowie wśród ogólnego pogromu organizmów jest już samo przez się rodzajem potęgi.

(D. c. n.).

## M A J A

## I.

Na południowym brzegu Czarnego Morza leży miasto. Miasto jest małe. Posiada, rozumie się, starą genueską fortecę, składającą się z odłamków murów, piołunów i jaszczurek. Posiada kawiarnię grecką, gdzie stuletnia glicynja, pełzająca po okapie, roni jedwabiste płatki w aksamitną kawę. Posiada bazar, latem zawalony kambałą i morelami. Młoda kukurydza na straganie ma siwe, czarujące włosy i drobne ząbki. Reszta ginie pod zielonym koprem. W mieście jest kino, dwa—trzy urzędy, ale na końcu każdej ulicy jest morze i w porównaniu z morzem wszystko inne to głupstwo. Na piasku rozciągnięte sieci; na grzbiecie lub na brzuchu odpoczywają łódki. Od czasu do czasu długa bezgrzywna fala, rżnięta jak szlanka, wbiega na piasek i sycząc znika.

Nocą samotne na skałach miasto, oblane światłem księżycy, wygląda jak śpiąca ryba. Dachówki domów błyszczą, jak łuska. Winnice ciągną się długim ogonem i wiatr niemi igra. A na brzegu, tam, gdzie powinna być głowa ryby, świeci samotne rybnie oko: lampa kustosa muzeum.

Bo w mieście jest i muzeum.

Wogóle ludzie nie są źli. Ale chętnie obgadują się nawzajem, szczególnie o zachodzie, kiedy słońce się skryje, świat chłodnie i tylko małe ludzkie sprawy ogrzewają serca. O zachodzie słońca żony rybaków, suche greczynki, plotkują. Same są czarne od słońca, fartuchy mają jaskrawo - czerwone i wszystko razem zdaleka przypomina kromkę czarnego chleba z kawałkiem pomidora.

Gotując wieszak i oczekując mężów, greczynki mówią o tem, że stary Stawraki, obecny kustosz muzeum, a dawniej poprostu bogaty człowiek, że ów Stawraki jest wnukiem przemytnika. Nie ulega wątpliwości, że Mikołaj, dziad jego, trudnił się przemytnictwem i handlował tytoniem bez banderoli. Co prawda oprócz tego los mu sprzyjał: trafił mu się spadek, kiedy jego wspólnik, rosyjski kupiec, utonął, nie mogąc sobie poradzić z żaglem. Choć jednemu Bogu wiadomo, jak w rzeczywistości wyglądał ten żagiel; czy nie miał czasem czarnej brody i szerokich szarowarów i czy nie zwał się Mikołajem Stawraki.

Jak to tam było napewno — niewiadomo, dość, że od tego czasu Mikołaj Stawraki stał się bogaczem. Zbudował sobie piękny obszerny dom i porozkładał po stołach i kanapach drogocenne rzeczy, przywiezione z obcych krajów. Wśród nich był szal perski biały z różowem, jak róże w śniegu.

Syn Mikołaja, Adrjan, nie trudnił się już żadnym podejrzanem rzemiosłem. Mieszkał w wielkim mieście, Odesie. Miał tam sklep: handlował kanarkami i koralami. Zrobił na tem wielki majątek, bo czasy były spokojne i ludzie mogli dowoli słuchać kanarków i nosić koralowe broszki. Syn jego, też Adrjan, nawet nie spojrzął na sklep. Sprzedał go i zaczął handlować owocami. Ale sam nie handlował, tylko najął administratora. Sam zaś wyjechał zagranicę, przebywał tam długo, ale się nie ożenił. Potem wrócił do rodzinnego miasta, przebudował dom dziadka i osiadł w nim na zawsze. I nie tylko przebudował dom, ale i ozdobił nadzwyczaj pięknie. Perski szal dziada nie był już samotny: znalazł się w towarzystwie wielu takich

szali i również perskich. Oprócz tego były tam obrazy, posągi, starożytne meble, koronki i kamienie, jednym słowem, wszystko, na co może sobie pozwolić człowiek bogaty.

Tak żył młody Stawraki, dopóki też nie stał się staruszką. I wtedy przyszła rewolucja.

Wydano dekret, że piękne rzeczy należą do wszystkich, ale zabierać ich sobie od domu nie wolno. Powinny być w osobnym domu, który zowie się muzeum, i w niedzielę, a nawet w dzień powszedni, oprócz poniedziałków, każdy ma prawo na nie patrzeć, nie dotykając rękami. W ten sposób dom Adrijana Stawraki zamienił się w muzeum, a jego właściciel w kustosa muzeum. Brać na jego miejsce kogo innego nie miało sensu. Stawraki był stary i chory, a co najważniejsze, wybornie umiał obchodzić się z obrazami. Wyznaczono dla niego pokój narożny, gdzie przedtem mieszkał biały posąg, przedstawiający gołą dziewczynę z lustrem. Licho ją wie, dlaczego choć trochę się nie ubrała. Na frontowych schodach posadzono córkę starej sklepikarki Diamando, żeby wydawała bilety zwiedzającym, choć wejście było bezpłatne. I w niedzielę, i w dni powszednie, oprócz poniedziałków, każdy, nawet sklepikarka Diamando, mógł się przekonać, że Stawraki gorliwie strzeże dobra ludowego. Że ani jednego z perskich szali nie zjadły mole, że sztylety nie pociemniały, a goła dziewczyna, widocznie wymyta wiechciem, aż błyszczą.

## II.

Dzień jest świąteczny i w muzeum wyjątkowo dużo ludzi. Córka sklepikarki Diamando nie może nadążyć z wydawaniem biletów wejściowych i odbieraniem od zwiedzających lasek, parasoli, nawet fajek. Szczególnie co do tych ostatnich, prawo jest przestrzegane bardzo surowo, zwłaszcza od kiedy rybak Chrysto, stojąc przed obrazem włoskiego malarza, zawołał:

— Parszywa łódka! Niech mnie kule biją, jeżeli można w niej okrążyć przylądek przeciw wiatrowi — rufa za niska!

To mówiąc, tak mocno uderzył fajką po starem płótnie, że na gładkiej powierzchni morza zrobiła się dziurka. Poczem przewodniczący biura korespondentów - rybaków, młody Rosjanin, Paweł Zujew, powiedział doń z wyrzutem:

— Myśmy uważali was, towarzyszu Chrysto, za człowieka uświadomionego, a okazuje się naodwrot. Czyż można do dzieł sztuki dotykać się choćby palcem? Nigdy w życiu.

Tu zamyślił się, podrapał w szyję i dodał w zadumie:

— A rufa w samej rzeczy do niczego.

Więc teraz, biorąc pod uwagę doświadczenie minionych lat, fajki odbiera się przy wejściu bezwzględnie.

Adrjan Adrjanowicz, zaniepokojony gwałtownym napływem miłośników piękna, wbrew swemu zwyczajowi, wchodzi do wielkiego kwadratowego pokoju z oknami na morze. Pokój ten dawniej był jadalnią, a obecnie jest największą skarbnicą muzeum; wzdłuż ścian biegną freski pompejańskie, a z sufitu zwiesza się latarnia z czasów Odrodzenia.

Ciężka postać Adrijana Adrijanowicza, jego czesuczowy surdut, siwa broda i chmurne spojrzenie z pod rogowych okularów — wszystko to czyni na publiczności dość mętne wrażenie.

Robotnica tkacka, Dorota, przybyła z wycieczką, opalona, żywa, świetna sportsmenka, która pobiła już wszystkie rekordy na wszechzwiązkowych zapasach pływackich, stoi przed cennym obrazem, przedstawiającym kobietę w sztywnej sukni, z warkoczami, przepłatanymi perłami, z niemowlęciem na ręku.

— Przypatrzcie się tylko jej sukni — objaśnia Dorota towarzyszkom. — Co za piekielna robota! Kapać się one też nie lubiły. Rozumie się, prowadziły pa-sożytniczy tryb życia. Ale...

Dorota spogląda na twarz i, dojrzawszy tam cień uśmiechu, kończy niemal szeptem:

— Ale... jednak ona jest piękna.

A rybak Chrysto, tym razem bez fajki, potwierdza:

— Piękna kobieta, a przede wszystkim dobra. To widać z tego, jak trzyma dziecko.

W tej chwili przechodził koło nich Adrijan Adrijanowicz i Dorota milknie.

Naprzeciwko, przed „Dawidem“ Michała Anioła, stoi przyjezdny jakiś pionier. Nogi rozstawił i ręce założył w tył. Czapka zsunięta na tył głowy, a czerwony krawat związany bez zarzutu na piersi. Wreszcie, pstryknąwszy w palce, pionier wykrzykuje:

— Zdolny staruszek! —

— Kto? — pyta Adrijan Adrijanowicz, nie dowierzając swym uszom.

Ale pioniera nie tak łatwo zbić z tropu, jak robotnicę Dorotę.

— Rozumie się, Michel Angelo — odpowiada, — O popatrzcie, jakie bicepsy ma ten jego chłopak! A nogi! Ba, wicie, jeżeli ten ruszy z miejsca, to wszystkich pobije na jaką chcecie odległość, nawet jeżeli da fory.

### III.

Dzień świąteczny ma się ku końcowi. Ostatni, najbardziej wytrzymały ze zwiedzających, który zjawia się co wieczór, aby bez przerwy patrzeć na czarnooką rozdawczynię biletów, też już odszedł. Adrijan Adrijanowicz odpoczywa w swoim narożnym pokoju. W szeroko otwarte okno płynie cisza, morze i księżyc. Grzbiety książek w oszklonej szafie mienia się złotem. Na biurku w weneckim kielichu rozwija się czarowna herbaciana róża.

Jednooki Anastazy, ongi towarzysz broni atamana Zielonego, obecnie nawrócony grzesznik i stróż muzeum, a zarazem kucharka Adrijana Adrijanowicza, praczka i pokojówka, przynosi na tacy kolację; wino w płaskim, glinianym naczyniu, placuszek, masło i miód w plastrze na liściu winogrodu. Świetna wieczerza, którą nie wzgardziłby i starożytny Grek. Oprócz tego Anastazy przynosi kilka listów, ostemplowany półów, który życie wyrzuciło dziś na biurko starego Adrijana Stawraki.

Wykręciwszy naftową lampę („oni“ wciąż mają zamiar elektryfikować miasto, ale w żaden sposób nie mogą tego zamiaru skutecznie), Adrijan Adrijanowicz je, nie spiesząc się i przegląda korespondencję. Księżyc i lampa oświetlają jego bujne włosy i szerokie plecy.

Listy są niezbyt ciekawe. Dwa—trzy od kolegów, takich samych muzealnych ludzi. Jeden proponuje nowgorodzka ikonę (ma ich kilka) wzamian za antyczną wazę żałobną, nie późniejszą, niż z IV-go wieku przed Narodzeniem Chrystusa. Drugi pyta się, jak

ustrzec papirusy od ssychania się. Trzeci wątpi w autentyczność tylko co znalezionej Matki Boskiej. Wszystko mniej więcej w tym rodzaju. Jeden list z centrum. Właściwie nie list, a urzędowe rozporządzenie Komisarjatu Oświaty, co do zapełniania ankiet przez zwiedzających muzeum (wzór ankiety załączony). Adrijan Adrijanowicz, łyknąwszy sarkastycznie wina, odkłada na bok oficjalne rozporządzenie.

Nareszcie jeden prawdziwy list. Z Paryża pisze stary przyjaciel, poeta, niegdyś ubóstwiany w Rosji, a dziś marniejący na wygnaniu. Poeta pisze...

„Ty wiesz, że pomimo surowej powierzchowności byłem zawsze rycerski względem dam. Dwóch tylko, dwóch nie znoszę. Pierwsza — to Śmierć, druga — to Rewolucja. Pierwszą znam na szczęście tylko ze słyszenia. Za to drugą...”

Adrijan Adrijanowicz kiwa głową potakująco. Lampa, pozostawiona sama sobie, pokazuje księżycowi długi, żółty język. Ale księżyc jest wyższy nad takie sprawy. Płynie spokojnie po niebie, lejąc srebrne blaski i cienie na niewielką doświadczalno - wzorową łódkę, stojącą na kotwicy naprzeciwko szkoły II-go stopnia.

Ale oto ostatni list. Na taniej, niepozornej kopercie nagryzmolone litery adresu. Adrijan Adrijanowicz rozrywa kopertę i czyta:

„Drogi, kochany wuju!” Adrijan zatrzymuje się i spogląda na lampę: wuj? czymże on jest wujem? I przypomniał sobie. Rzeczywiście miał siostrzenicę. Zwała się Agłaja. Coś jakoby się z nią zdarzyło. Przypomniał. Wyszła zamąż za komunistę. Więc czegoż ona chce od niego ta Agłaja, o delikatnym profilu cesarzowej Teodory? Tak długo nie dawała znaku życia i oto teraz pisze. Okazuje się — chora (zresztą to można było przewidzieć); męża jej wysłali na Syberję, organizować miał kooperatywy. A jej i dzieciom koniecznie potrzebne jest morze. Przypomniała sobie drogiego, kochanego wuja, i myśli, że nie odmówi im gościnnego dachu. Czeka telegraficznej odpowiedzi.

Adrijan Adrijanowicz długo rozmyśla. Z jednej strony lato napewno przepadnie. A z drugiej — ta Agłaja, kiedy była malutka, była nadzwyczaj miła i zabawna. Lubiła owoce i bajki. Pewnego razu, ujrzawszy owoc kokosowy, powiedziała:

„Jeżeli to jest piłka, to dlaczego nie skacze? A jeżeli to jest małpa, to gdzie ogon?”

Adrijan Adrijanowicz budzi Anastazego w komórce pod schodami, dokąd światło księżyca wpada, jak sztylet przez wąskie okienko, daje mu kartkę i pieniądze i mówi:

— Jutro odwieziesz na telegraf. I, odchodząc już, dodaje:

— I sprzątniesz zapasowy pokój, ten, gdzie leżą stare ramy.

### IV.

Kostia Kontaki, właściciel jedynej dorożki w mieście, posiadającej resory, staje przed gankiem i pomaga wyjść gościom. Najpierw wyciąga z wnętrza swego powozu bladą nieznaną kobietę (nie Agłaję) z niemowlęciem na ręku. Potem dużą walizkę, potem małą walizeczkę. Wreszcie z wysokiego stopnia wyskakuje Agłaja, zupełnie taka sama, jak w ów dzień kokosowego orzecha. Agłaja ma ten sam malutki nosek, na którym trzy różnego kalibru piegi ułożone są jak dziurki w stalówce, tę samą kasztanową grzywę i te same długie, złote oczy bizantyjskiej cesarzowej.

(Dok. nast.).